ROK TRZECI.

№ 4

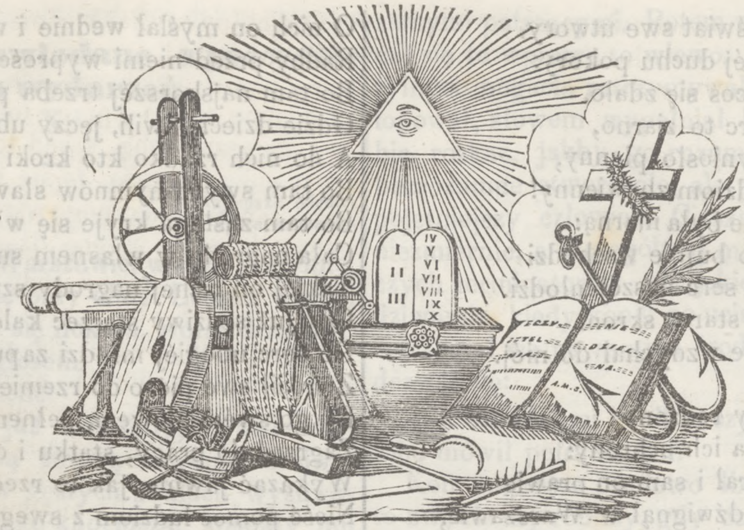
Warszawa.

Dnia 12 (24 stycznia).

1858.

Niedziela

3cia po Trzech Królach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny, wieczny Boże! racz wejrzeć łaskawie na słabość naszę, a dla obrony naszéj dźwignij prawicę majestatu Twego (Kollekta na Niedzielę trzecią po Trzech Królach).

Wspomnienie o Stanisławie Jachowiczu.

Już drugi tysiąc lat nam upływa,
Jak prawda Boża świeci nad tłumem,
Z domów modlitwy ciągle nas wzywa:
Doskonałymi bądźcie rozumem,
Lecz maluczkimi w dumie i złości;
Miejcie w swem sercu wiarę niewinną,
Szczerość, prostotę, skromność młodości
I nieskalaną duszę dziecinną!
Więc gdy się zjawi taki mąż-dziecię,
Ludek go Boży wita radośnie,
Imię się jego szerzy po świecie,
Urok prostoty z dniem każdym rośnie;
Wszyscy mu wieńce zasługi niosą,
Listki skrapiają łez swoich rosą,
Choć zwykle tego nie wiedzą sami,
Zkąd taką władzę wziął nad sercami.

Podobnym mężem niezgasłéj chwały
Był nasz *Jachowicz*, znacie go pewnie;
Bo któż go nie znał? — toć naród cały
Jak polubieńca kochał go rzewnie.
Jak kraj szeroki i jak kraj długi,
Wszędy wielbiono jego zasługi,
Wszędy wtórzono jego bajeczki
Pełne uczucia, rzewnéj prostoty,
Wszędzie czytano jego książeczki,
Co zachęcały dziatwę do cnoty.
O! bo też jak on miłował dziatki
Sercem gorącem, jak on im służył!
Miał dla nich wszystkich uczucia matki,
Dla nich w mozole żywot przepłużył;
Nie dbał, że siły i zdrowie straci,
Byleby tylko w serca ich młode
Zaszczepić wiarę, poczciwość, zgodę
I bojaźń Pańską i miłość braci.
Trzy pokolenia on wykołysał,
Serca w nich zagrzał i myśl rozbudził,
Mnóstwo prześlicznych dziełek napisał,
A czczą się sławą nigdy nie łudził.
Nigdy nie gonił za głośną chwałą,

Ale puszczając w świat swe utwory,
Marzył w dziecięcéj duchu pokory:
Żeby to tylko na coś się zdało,
Żeby trafiło do serc to ziarno,
I owoc kiedyś przyniosło plenny,
Miły dla Boga, ludziom zbawienny!
O! to też siejba nie była marną:
Co posiał tylko, to bujnie wschodzi
Na wdzięcznej roli serc naszéj młodzi.
I sława błysla na starca skroni
Za to, że nigdy nie wzdychał do niéj.

A już sierotki niby rodzony
Ojciec ukochał, dla ich ochrony:
Sam wszędzie żebrał i sam on prawie
Dom dla sierotek dźwignął w Warszawie,
Gdzie biednych dziatek przygarnął krocie
I łzy niejednéj otarł sierocie.
Sam miał niewiele, a jakżeż żywo
Biegł w pomoc biednym!—on dla nędzarza
Oddał ostatnie choćby grosiwo,
Boć litościwym Pan Bóg przysparza.
Wpajał tę prawdę i był jéj wierny:
Co damy biednym, to nam przybywa;
Wszak wiemy wszyscy: Bóg miłosierny,
On ptaszki leśne żywi, okrywa,
A miałby ręki nie podać z nieba
Tym, co ostatni łamią kęs chleba,
Żeby nakarmić głodnego brata?
I jako ufał, tak mu się działo,
Cudownie bowiem przez długie lata
Opatrzne niebo nad nim czuwało...
Ale nietylko ziemskiego chleba
Nie szczędził biednym, on im otwierał
Serce i duszę, jak gościom z nieba,
Z miłością ojca na nich spozierał,
Sadzał przy sobie, bolał wraz z niemi;
Nieraz zapłakał łzami rzewnemi
Nad ich niedolą, i nieraz z płaczem
Gorzko zawołał: Bożeż mój Boże!
Czemu Jachowicz nie jest bogaczem,
I więcéj biednym czynić nie może!
O jakżeż sporsza taka jałmużna
Od wyrzuconych na bruk pieniędzy,
Co często z wzgardą ciśnie dłoń próżna,
Byle się pozbyć widoku nędzy!..

Jachowicz prostym był życie całe,
Prostą szedł drogą, myśląc o niebie,
To też gromadził dokoła siebie
Serca prostacze i dziatki małe.
O nich on myślał wednie i w nocy,
Radby przed niemi wyprościć drogi;
Bo tam najskorszéj trzeba pomocy,
Gdzie dziecię kwili, jęczy ubogi.
A do nich rzadko kto kroki zwróci,
Bo tam swych hymnów sława nie nuci,
Bo tam zasługa kryje się w cieniu;
Cała nagroda w własnem sumieniu.
Takiéj on cichej nagrody szukał,
Gdy już sędziwy starzec kaléka
Do serc ubogiéj młodzi zapukał,
Zwrócił swe pióro do rzemieślnika,
By go swém słowem, pełnem szczeroty
Zagrzać do pracy, statku i cnoty,
Wykazać jawnie, jak to rzecz wzniosła
Nieść pomoc ludziom z swego rzemiosła.

O! bracia drodzy, co przy warsztacie
W trudzie, w niedoli ze znojnem czołem
Słowa pociechy nieraz szukacie,
Tkliwym Jachowicz był wam aniołem.
Czytajcie tylko jego powieści,
Żywo, choć drżącą skreślone dłonią;
Tam wzór, pociecha dla was się mieści,
Tam święte prawdy wam się odsłonią.
On myślał o was do dni ostatka,
To dlań marzeniem było jedynem,
By wam w upadku, jak czuła matka
Nieść dzielną pomoc słowem i czynem.
Bóg chciał inaczéj—zgasł człowiek prawy,
Przyjaciel ludu, serce Warszawy!...
Nim wszystkie wzniosłe plany wykonał,
Wśród szlochu dziatek, sierotek jęku,
Płaczu ubóstwa zacny mąż skonał;
Duch na aniołów uleciał ręku,
By był wywyższon wiecznie na niebie,
Że się na ziemi zniżył jak dziecię,
Słabe i nędzne garnął do siebie
I ziarno cnoty rozsiał po świecie.

O! serca proste, wy dziś z kolei
Dajcie mu chwałę, w kornej podzięce
Z czystych łez żalu splećcie mu wieńce,
Bo z nim tracicie tyle nadziei!
W kim tli uczucie i dusza czyja
Umie należny hołd oddać cnocie,
Niech cicho westchnie: *Zdrowaś Marya*
Za Jachowicza w serca prostocie!

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

X.

—

Najlepsze mienie,
Czyste sumienie.

Pewnego dnia w Warszawie, w samo południe, do jednej z kamienic przy ulicy Leszno wszedł druciarz i oglądając się dokoła, wołał drżącym, jakby osłabionym głosem:

— *Garnki drutować*!

Był to człowiek już niemłody, prawie starzec, z pomarszczoną twarzą i nawpół z siwemi włosami, które w gęstych puklach wysuwając się zpod okrągłego kapelusza, spadały mu aż do ramion. Ubrany był zwyczajem goralskim w obcisłe, na haftki spinane spodnie, w sznurowane chodaki na nogach, w burkę zawieszoną na plecach, i w torbę przy lewym wiszącą mu boku—a chociaż całe to ubranie niczem się nie różniło od innych górali, było jednak tak biedne, tak zniszczone i połatane kawałkami skór i różnobarwnego sukna, że bez rozrzewnienia nie można było spojrzeć na biednego starca. Powtórzywszy kilkarazy wołanie, oparł się o słupek przy bramie stojący, spojrzał po oknach i westchnąwszy, rzekł sam do siebie:

— Ach! wielki mój Boże, już łażę od rana i zarobku ani grosza. Nogi mi drżą od chodzenia, w głowie się kręci—ach! Boże! mój Boże!

Zaledwie słów tych domówił, na podwórzu powstał jakiś ruch niezwykły. Goral podniósł smutnie zwieszoną głowę i dostrzegłszy gromadzących się ludzi wokoło myszatej maści konika, ubranego w kitę czerwoną na głowie i trzymanego przez jakiegoś człowieka, powodowany ciekawością wmieszał się między tłum patrzących. Jakby na wywabienie wszystkich mieszkańców z kamienicy, niedługo ozwała się katarynka, i zaraz prawie zadudniały schody, co tak na gwałt biegł każdy zobaczyć różnych sztuk wyuczonego konika, a znanego w owym czasie prawie całéj Warszawie. Wnet się też zebrało spore kółko patrzących, najwięcej złożone ze sług, dzieci i terminatorów, najszczęśliwszych wtenczas, kiedy z założonemi rękoma mają się czemu przypatrywać. Jak właściciel konia zobaczył, że się już dostateczna liczba widzów zgromadziła, dał znak, a konik w takt po muzyce zaczął obiegać koło tuż przed samymi patrzącymi. Potem na zawołanie zwracał się to wprawo to wlewo, chodził na dwóch tylnych nogach, zatrzymywał się, kłusował, galopował, słowem wypełniał każdy wydany sobie rozkaz, jakby go rozumiał nie jak nieme bezrozumne stworzenie, ale prawie jakby najpojętniejszy człowiek. Cieszyło to wszystkich niezmiernie, a szczególniej młodych rzemieślniczych terminatorów. Ale jakież było ogólne zadziwienie, kiedy konik po uciszeniu się muzyki, zatrzymał się na samym środku, a pan jego odezwał się:

— Powiedz mi koniku, czy chcesz, żebym z tobą mówił pofrancuzku?

Koń naprawo i nalewo łbem poruszył, jak to zwykle my robimy, gdy czemu zaprzeczamy.

— Więc możepo angielsku, poniemiecku, powłosku? zapytał się znowu, robiąc stosowne przestanki—a koń za każdym razem tem samem łba poruszeniem odpowiadał.

— To może popolsku? spytał się wreszcie właściciel, a koń z radości aż podskoczył i kiwnął głową parę razy na potwierdzenie, że w tym języku pragnie, aby z nim rozmawiano.

Wszyscy się rozśmiali i ze współczuciem spojrzeli na poczciwego konia, co mowę naszą przeniósł nad inne cudzoziemskie.

— To ty widać polski konik, i musisz się zapewne nazywać Wojtek? zapytał właściciel, a koń zarżał, łbem kiwając i zastrzygł uszami.

— A to koń dopiero!—rozumniejszy nie od jednego człeka, jakby prawdziwy Wojtek, odezwano się dokoła, i jaki taki sięgnął do kieszeni, żeby rozumnego konia obdarzyć kawałkiem chleba lub bułki. Między innymi sięgnął także do torby i znany druciarz, ale widać nic w niej nie znalazł, bo tylko westchnął i spojrzał łakomie na stojącego przy sobie kowala z czerwonym jak burak nosem, który rozłamując całą bułkę na kawałki, karmił nią poczciwe zwierzę. Kiedy się dosyć nacieszono, nagłaskano Wojtka i nakarmiono, właściciel przywołał go do siebie, i znowu dalsze z nim sztuki pokazywał: to grzebał nogą powiedzianą sobie liczbę, to wygrzebywał także nogą godziny na zegarku, kwadranse, minuty, że się wszyscy dosyć temu nadziwić nie mogli.

— Teraz państwu pokażę z Wojtkiem rzecz najciekawszą, odezwał się wreszcie właściciel, kontent, że tak wielkie swym koniem obudził zajęcie, i obchodząc dokoła, mówił dalej: wszystko,

co dotąd mój kochany konik pokazywał, to są zwyczajne bardzo rzeczy; ale on umie coś lepszego, nawet to, co dla człowieka często bywa tajemnicą.

Na takie oświadczenie kółko patrzących ścisnęło się, każdy nadstawił głowy, aby lepiej mógł przypatrzeć się, nawet druciarz odgarnął włosy zasłaniające mu oczy, a sztukmistrz trzasnąwszy biczykiem, wypuścił Wojtka w obieg kółka i rzekł:

— No Wojtek! kiedyś taki mądry, to pokaż nam, która tu panna jest najładniejsza?

Konik wolno zaczął obchodzić dokoła, jakby przyglądał się i wybierał. Dziewczęta, których tam było dosyć, a wszystko służące z tego domu, poczęły wydzierać się naprzód, bo każda chciała być wybraną, żeby się potem miała z czem pochwalić. Chłopcy terminatorscy naciskani ze wszystkich stron i z pierwszego szeregu wypychani wtył, zaczęli krzyczéć i kłócić się ząb za ząb; słowem w całem zgromadzeniu zrobiło się małe zamieszanie. Jeden tylko druciarz stał spokojnie i choć się ciekawie przyglądał, ale się nie tłoczył, stojąc naboku za drugimi. Konik obszedłszy dokoła parę razy, zatrzymał się wreszcie przed jedną młodą dziewczynką i stanął, wprost łbem do niéj obrócony. Zobaczywszy to wszyscy, w ręce zaklaskali; wybór bowiem był rzeczywiście trafny—dziewczynka zarumieniła się z uszami i czując wszystkich oczy zwrócone na siebie, zasłaniając twarz, drapnęła z podwórza do domu.

— Dobrze koniku, odezwał się sztukmistrz— a teraz pokaż mi, która tu najstarsza i najbrzydsza?

Dziewczęta usłyszawszy to, jak oparzone zaczęły uciekać do ostatniego szeregu patrzących—chłopcy w krzyk, dziewczęta na nich, dość, że o mało co nie przyszło do zwady. A koń tymczasem obchodził, wybierał, czasem troszkę przystanął; to wtedy dziewczyny kryły się jedna za drugą, lub za chłopców wołających: tu koniku tu, chodź tu, chodź, i gniewając się, łajały chłopców, którzy także nie trzymali języków za zębami. Wreszcie koń zatrzymał się przed dwiema dziewczętami, Bogiem i prawdą nie tak nieurodziwemi, jak niestarannie i niechlujnie ubranemi, z włosami pełnemi pierza, w sukienkach brudnych, podartych i poplamionych—i gdy jedna z nich wbok uskoczyła, koń trzymający łeb między niemi obiema, zwrócił się do drugiej.

— Czegoż uciekasz? odezwała się stojąca dziewczyna, koń się przed tobą zatrzymał.

— To przed tobą, przed tobą, odrzekła druga z niejaką radością, że się jéj tak zgrabnie udało uniknąć publicznego wstydu. Całe zgromadzenie zaklaskało w ręce, dziewczęta zaczęły się swarzyć, a ów kowal z czerwonym nosem odezwał się:

— Moje panny! nie macie się o co gniewać, tylko się z tego nauczcie, żeby przed ludźmi nigdy się nie pokazywać brudno i obdarto, bo porządek i czystość to najpierwsza uroda młodych dziewczyn. Dlatego téż koń, choć tu brzydsze są od was, przed wami się jednak tylko zatrzymał, bo młodą dziewczynę nie uroda robi piękną, ale czystość, porządek i dbałość choćby o najbiedniejsze ubranie.

— O! bardzoś pan mądry, odezwała się rozdąsana dziewczyna i niezawodnie przyszłoby do nowej zwady, ale w tej chwili odezwał się sztukmistrz:

— Pokaż mi teraz koniku, kto tu z tych wszystkich, co się przypatrują, najlepiej lubi wódkę?

Na dany znak koń bryknął, obleciał dokoła, i prawie bez namysłu zatrzymał się przed kowalem, którego nos jasno pokazywał, że kieliszkiem nie lubi gardzić.

Wszyscy się rozśmiali, a kowal zamiast się rozgniewać, objął szyję poczciwego zwierza, zaczął go głaskać, całować po mordzie i odezwał się z czuciem:

— Prawda, prawda mój koniku kochany, lubię troszkę gorzałkę, ale od dziśdnia odmienię się, jak mi Bóg miły, tak odmienię się. Na takie publiczne przyznanie się do winy, śmiechy w patrzących ustały i każdy z pewnem poszanowaniem spojrzał na kowala, bo wszyscy uczuli, że błądzić nader łatwo, ale poprawić się z błędu umie tylko prawdziwie dzielny człowiek, co wie, że mu Pan Bóg dając duszę nieśmiertelną, dał zarazem rozum, żeby umiał złe od dobrego rozróżnić, i wolę, żeby żył poczciwie na świecie, a złego strzegł się jak ognia.

Kiedy zamieszanie sprawione przez kowala cokolwiek się uspokoiło, odezwał się znowu sztukmistrz:

— Teraz na zakończenie pokaż mi mój koniu człowieka, zpomiędzy nas wszystkich najbiędniejszego, a jednak poczciwego?

Koń znowu zaczął obchodzić dokoła, wąchać, patrzeć się, zwracać się to w tę, to w ową stronę— patrzący zaczęli wątpić, aby mu się ta sztuka udała, aż wreszcie koń stanął wprost druciarza. Rozstąpili się ludzie i zostawili wolne miejsce do przejścia, koń zatrzymał się przy samym druciarzu i pokiwawszy łbem jakby na znak, że on jest tym, którego mu wskazać kazano, oparł mordę na ramieniu biednego starca.

— Koniczku, mój koniczku kochany, odezwał się po chwili z rzewnością druciarz, prawda, co ja najbiedniejszy, bo nawet nie mam, Bóg widzi kawałka chleba, cobym ci dał za twoję poczciwość. Mój koniczku, zkąd tobie taki rozum? Ja biedny druciarz z dalekiéj ziemi; tam w górach zostawiłem moję żonę, moje dziatki, i smutno mi, tęskno, a wszystko dla zarobku. Bóg wielki zesłał na mnie chorobę, już jest południe, a żadnego zarobku mi się nie trafiło, więc i słaby jestem i głodny—ale wszystkiego tego nie czuję, kiedyś pokazał, co ja poczciwy człowiek. O! mój koniczku kochany, mój ty prawdziwy przyjacielu, poczciwość to całe moje bogactwo.

Daléj biedny starzec nie mógł już mówić, łzy bowiem zasłoniły mu oczy, a ciche łkanie głos przytłumiło. Objął więc łeb konia i całując, ściskając, oparł czoło o śklniącą się jego szyję. Poczciwi ludziska nie mogli się dosyć napatrzeć na druciarza pieszczącego konia, jaki taki westchnął z czułością, nawet chłopaki terminatorskie, co i chwilki spokojnie na nogach ustać nie mogą, z zajęciem przypatrywali się starcowi, i nie uważali, jak majster ich przysunął się do druciarza i wezwał go do siebie na górę do odrutowania kilku starszych garnczków. Zobaczywszy majstra, chłopcy jak spłoszone ptastwo rozbiegli się na wszystkie strony, cichutko pozasiadali do przerwanéj roboty, i gdy wszedł majster z druciarzem, wszystkich znalazł w należytym porządku, tak, jakby każdy kamieniem od samego świtu siedział w swojem miejscu.

Ludzki i rozsądny majster pożywiwszy naprzód biednego druciarza, dał mu garnki do drutowania, a potem wszedłszy do warsztatu, odezwał się głośno do chłopców:

— Moje dzieci, jakkolwiek odrywań i bałamuctwa przy robocie nie lubię, cieszę się jednak żeście widzieli tego konia, bo z niego wiele dobrego nauczyć się możecie. A naprzód cierpliwości w każdem przedsięwzięciu; bo jeżelić tesztukmistrz umiał tak konia wyuczyć, że każdn skinienie, najmniejsze poruszenie głowy albe ręki, a nawet mrugnięcie oczyma, rozumie tako jak mowę i idzie i zatrzymuje się tam, gdzie mu, każe, to czegóż wy każdy z was z samym sobą nie potrafi zrobić, jeżeli tylko z chęcią i z gorliwością weźmie się do pracy? Wszakżeż to tylko koń, choć poczciwe, ale bezrozumne bydlątko, a wy ludzie obdarzeni rozumem. Powtóre strzeżcie się nieporządku, niechlujstwa i najszkaradniejszej rzeczy pijaństwa, bo oprócz tego, że was jako niechlujów i pijaków będą wszyscy ludzie palcami wytykać, tak jak te dwie dziewczyny i kowala, ale nadto szkodząc swemu zdrowiu i marnotrawiąc bezpożytecznie czas, prędzej, późniéj musicie przyjść do biedy i nędzy, bo nieporządek i pijaństwo zawsze zuboża, a nigdy pomyślności i szczęścia nie daje.

Wreszcie pamiętajcie mieć zawsze zdarzenie z druciarzem na myśli, który nieznany nikomu, sam biedny, z dalekiego kraju, a jednak uznany został za poczciwego człowieka, dlatego tylko, że jest jednym z tych druciarzy, co ich znamy od dawiendawna, że nie są ani pijakami, ani łotrami, ani złodziejami, ale poczciwymi i dobrymi ludźmi. Dlatego tak wy, jak i panowie czeladnicy, mówił dalej majster, zwracając się do czeladzi, jak wam wypadnie pójść na wędrówkę w obce kraje, starajcie się szczególniej o porządne, pracowite i uczciwe życie; bo swoi prędzej przebaczą, a przynajmniej okażą się wyrozumialszymi, niż obcy, którzy zawsze sto oczów mają i sto ust na złe u cudzego człowieka, a jedno tylko oko na dobre i jedno słowo na jego pochwałę. Wędrując więc po obcych ziemiach, starajcie się zawsze robić to, co jest zacne i piękne, żeby z czasem jedno tylko słowo powiedziane, że to jest polak, dawało przekonanie, iż jest uczciwym i porządnym człowiekiem ten, który należy do tego narodu. Czyż bowiem myślicie, że biedaka tego, gdyby nie był druciarzem, nie znając go, nazwalibyśmy poczciwym człowiekiem? Naturalnie że nie, ale że wiemy, iż wszyscy druciarze są poczciwi ludzie, więc już naślepo mówimy, że i ten pewno nie jest gorszym od drugich.

Gdy tak majster mówił, a wszyscy w warszta-

cie z pilnością słuchali, tymczasem druciarz ukończył robotę i wychodząc, rzekł:

— Panoczku kochany, już garnuszki podrutowałem, niech służą panuczkowi na zdrowie, a za obiad Bóg wielki zapłać.

— Hola! hola! druciarzu, zawołał majster, widząc, że druciarz bez zapłaty odchodzi, przecię ci się należy za robotę.

— Co łaska mój panoczku kochany, to wezmę wszystko bez targu, odrzekł druciarz, bo za taki poczęstunek, to cóż ja mogę dać panoczkowi?

—Na mój bracie, odrzekł na to majster, kładąc mu złotówkę w rękę, weź to, a przychodź codzień, to zawsze się czem pożywisz, a za to żonie mojej przyniesiesz wody, drzewa, lub jaką inną zrobisz posługę w kuchni. Przychodź więc zaraz jutro...

— Jutro, to chyba nie, kochany panoczku, przerwał druciarz, bo jutro niedziela, a Bóg Przenajświętszy kazał sześć dni pracować i zarabiać, a siódmego dnia w niedzielę Boga pochwalić w kościele. To już mój panoczku jutro nie przyjdę, bo ja bez zarobku w święto całe swoje życie obchodziłem się, to już dotrwam do końca.

— No, to dobrze, to dobrze, cokolwiek zbity z tropu odezwał się majster, ale możecie i tak przyjść, to przecież zawsze się dla was co znajdzie.

— Bóg wielki zapłać, odrzekł na to druciarz i westchnąwszy, mówił dalej: ale zkąd wy panoczku tacy dobrzy dla mnie starego? Gdyby moja żona, moje dziatki mogły was zobaczyć, do nógby upadły, żeście starego Janka w gościnę przyjęli, pożywili i uczcili stare siwe włosy. Bądźcież mi więc zdrowi mój kochany panoczku, Bóg wam wielki zapłać za wszystko dobre.

Kiedy druciarz zamknął drzwi, cicho zrobiło się w warsztacie, a majster znowu po chwili odezwał się dalej:

—Przy téj okazyi i mnie się dostało. Ale powiedzcież mi, czy takiego człowieka, co tak przestrzega przepisów religijnych, co nigdy na niego żadnej skargi do ratusza, ani do sądu nie było zaniesionej, co z każdym jest grzeczny i potulny, nie należy kochać i szanować? O! nie zapominajcie nigdy tego zdarzenia z druciarzem, a ja na dowód tego nigdy w życiu święta, ani niedzieli nie zgwałcę żadną pracą, bo Bóg powiedział w przykazaniach swoich:

Pamiętaj, abyś dzień święty święcił!

A my, jak go zwykle w życiu naszem zachowujemy?

O śnie zimowym zwierząt.

— Co się téż dzieje z tylu zwierzętami, ślimakami, owadami, których życie trwa dłużéj jak rok jeden, a których w zimie nie widać?

— Wiele ptaków odlatuje od nas w cieplejsze kraje za zbliżeniem się zimy, mnóstwo owadów żyje tylko przez wiosnę; niektóre zaś owady, kilka zwierząt ssących, ślimaki ciągną swe życie i przez zimę, ale skryte, uśpione.

—A czyż życie w nich nie wygaśnie przy takich silnych i długo-trwałych mrozach?

— Opatrzność wszystko mądrze przewidziała i urządziła. Wiadomo, że ciepło wewnętrzne zwierząt, jak np. ptaków, zwierząt czworonożnych i innych jest skutkiem oddychania, to jest wciągania powietrza, czy to do płuc, jak u nas, czy skrzelami, jak u ryb, czy rurkami rozrzuconemi po ciele, jak u owadów—lecz nie wszystkie zwierzęta, w skutek słabego i powolnego oddychania, zdolne są wynagrodzić stratę ciepła, jaką w nich sprawia chłodne lub mroźne powietrze, a więc utrzymać swe życie, ruchy z takąż samą siłą jak latem. Dlatego Opatrzność obdarzyła je bardzo szczególną i godną podziwienia sposobnością długiego i ciągłego snu, podczas którego z życia czynnego przechodzą do życia jakby utajonego, skrytego, są jakby w zachowawczem odrętwieniu.

— A więc podczas takiego snu wszystkie czynności, potrzebne do utrzymania czynnego życia muszą ustawać?

—O nie, takie zwierzęta za zbliżaniem się zimy, stosownie do sposobu życia usiłują naprzód znaleść schronienie odpowiednie, gdzieby najmniéj dokuczało im zimno; jedne chowają się w szpary, szczeliny muru, drzew, jak pająki, owady, lub w kupy ziemi, liści, gnoju, inne do piwnic, najgłębszych pieczar, jak niedoperze; inne w muł,

jak ryby, żaby, i w takiem ukryciu śpią, nie biorąc żadnego zzewnątrz pożywienia — ale natomiast karmią się własnem swém ciałem, żyją kosztem własnego jestetwa, jak o tem najlepiéj świadczy zmniejszenie ich ciężaru i powolne chudnienie. Jednakże ciągle oddychają, tylko daleko powolniéj, aniżeli wtedy, gdy są w pełni życia czynnego.

Nasi włościanie nie wiedząc prawdziwéj przyczyny, trafnie ją jednak określają, mówiąc o niedźwiedziu śpiącym w legowisku, że przez zimę ssie swe łapy. Lecz powiadają, że niedźwiedzie nie zawsze zasypiają w legowiskach, czasem przez lekką zimę są ciągle w ruchu, tak jak w menażeryach.

— Sen zimowy nie jest koniecznością, potrzebą spoczynku, ale tylko darem dobroczynnym, z którego wtedy tylko korzystają zwierzęta, gdy mają nastąpić wielkie zimna. Można bowiem sztucznie tak w lecie jak w zimie zmusić zwierzęta do snu zimowego, umieszczając je w miejscu mocno oziębionèm; i odwrotnie w zimie można zwierzęta śpiące przebudzić, ocieplając tylko miejsce ich pobytu. Lecz taki sen zbyt długo trwać nie może, bo jak wyżéj wspomniałem, zwierzęta będąc w odrętwieniu zimowem, żywią się samemi sobą; dopóki więc starczy materyałów do pożywienia, dopóki się zupełnie nie wyczerpią z tłuszczów, z mięs własnych, dopóty żyją; gdy zaś długa zima nie pozwala im się przebudzić, wówczas dla braku już soków służących do podgrzewania ciała, a przy wielkiéj stracie ciepła od mrozów, przemarzają.

— A zmrożony zwierz może jeszcze za ogrzaniem przyjść do życia?

— To zależy od siły mrozów, a więcéj od gatunku zwierząt. Zwierzęta doskonalszéj, więcéj złożonéj budowy wewnętrznéj, raz przemrożone, nie mogą już powrócić do życia, inne zaś niższego rzędu, przemrożone, po odtajaniu wody, lub ogrzaniu napowrót są pełne życia. Tak naprzykład niektóre owady przy słabym mrozie tracą zaród życia i giną, innym nawet bardzo silne mrozy nie szkodzą. Ryby zamrożone, sztywne jak kije, po włożeniu do wody letniej wracają do życia; żaby wystawione na mróz w naczyniu zamkniętém napełnionem ziemią, przemarżają, ich członki są zupełnie niegiętkie, kruche, w odłamie nie pokazują ani kropli krwi, a w tym stanie włożone do wody letniej, wkrótce przybierają giętkość członków i w dziesięć minut do życia wracają. Lecz do tego potrzeba, aby zamrażanie było powolne, bo szybko mrożąc zwierzęta, zabijamy je bezpowrotnie.

— A czy Opatrzność nie obdarzyła tych biednych zwierząt sposobnością przerwania snu, gdy się wyczerpują z własnego pożywienia, lub gdy mróz za wielki?

— Mają one wielki instynkt, zmyślność godną podziwienia, z jaką przeczuwają mające nastąpić zimna; za zbliżaniem się mrozów wyszukują sobie najcieplejsze miejsca schronienia, w których tylko powolnie ostygać mogą, a prócz tego przy gwałtownych mrozach same mogą się przebudzać, jak to często widać na pająkach śpiących w szparach muru — chwilowo rozbudzone, szukają cieplejszego schronienia, a nie mogąc go tak prędko znaleść, giną dopiero od mrozu.

— A więc uśpione zwierzęta czują?

— Śpiące, zwykle w kłębek zwinięte, aby jak najmniejszą powierzchnią stykały się z powietrzem lub zimną ziemią, są zdrętwiałe i bardzo mało czułe. W tym stanie, byle ich nie wystawiać na zbytni mróz ani na ciepło, można je przenosić, taczać, rzucać, pakować w siano i bardzo daleko przesyłać. Strzelając w pieczarze, gdzie zimują niedoperze do ścian przyczepione, niepodobna ich rozbudzić. Kłując jednak jeża, niedoperza śpiących, spostrzegamy, że te zwierzęta wkrótce zaczynają szybciéj oddychać, ogrzewają swe ciało i rozbudzają się z uśpienia, a gdy przestaniemy je bolejąco drażnić, napowrót usypiają, wpadają w pierwotne odrętwienie.

Zwierzęta ssące w czasie uśpienia zimowego mogą nawet przez dość długi czas wytrzymać pod wodą, nie tracąc życia; wtedy gdy przy życiu czynnem takie zanurzenie ich w wodzie pozbawia ich życia. Jeże, koszatki, niedoperze, uśpione można prawie przez kwadrans trzymać w chłodnej wodzie, a po wyjęciu i rozbudzeniu do życia jednak wracają.

Rozmowa o myciu podłóg.

—

— Znów mycie podłóg, będzie większa wilgoć i zaduch.

— Cóż robić, trudno w takich brudach mieszkać—lubisz, aby było czysto w pomieszkaniu,

a nie chcesz, aby podłogi myto, jakże jedno z drugiém pogodzić?

— Owszem, ja chciałbym, aby posadzki były czyste, ale nie mogę znieść takiego mycia, które teraz szczególniéj, gdy okien otwierać niepodobna dla przewiewania pomieszkania, więcéj szkody przynosi, aniżeli pożytku i przyjemności. Nasze służące nie umieją myć podłóg; pod pozorem, że brud lepiéj z drzewa wyjdzie, leją wiele wody, a potem chlapią po ścianach szczotkami, splukują brudną wodę kilkakrotnie, z czego wynika, że podłoga dłużéj schnąć musi; dłużéj więc nasyca pomieszkanie nieprzyjemnemi wilgotnemi wyziewami, nabawia kaszlów, katarów, i t p—a wkońcu zbytek wody zaciekając przez szpary pod podłogę, tworzy w tych miejscach wilgotne, trudno wysychające śmiecie, błoto, w którem i robactwo, jak stonogi chętniéj się gnieździ, i z resztą powoli przyczynia się do gnicia belek, posadzki.

— Już byto była najmniejsza szkoda, że belki gniją, wiekować one i tak nie mogą, a gospodarze za zużycie domów pobierają od nas sowite komorne.

— Przepraszam cię, gdyby już o nich nie szło, a tak wszakże rozumować się nie godzi, to dbajmy o nas samych. Nie życzyłbym sobie mieszkać w miejscu, gdzie jest ciągła, choć powolna zgnilizna, bo to się do zdrowia ludzkiego nie przyczynia—zgnilizna bez szkodliwych wyziewów być nie może.

— Ależ cóż robić mój mężu? Podaj mi sposób, jak pogodzić z sobą te różne względy, bo czystość pomieszkania niezaprzeczenie wpływa na stan zdrowia mieszkańców, a jednym z głównych warunków czystości jest częste wymycie podłóg, na których nagromadza się nieczystość z obuwia, rozlanych potraw, przypadkowych spluwin. Zaprawiać wszędzie podłóg niepodobna, bo oprócz kosztów, zaciężko na służące te częste froterowania.

— Nie myślę wcale namawiać cię do zaprawiania całego pomieszkania, ale gdybyś chciała pójść za moją radą i sprobować innemi sposobami myć posadzkę, to można wszystkiego uniknąć.

— Owszem, wskaż tylko a co dobrego.

— Spróbuj tego sposobu: każ przynieść suchych trocin w koszu, zmoczyć dobrze ciepłą wodą, w której rozpuszczoném zostało pół funta potażu za kilka groszy, i takiemi mokremi trocinami dobrze wytrzeć podłogę; tylko trzeba dopilnować, aby wytarto starannie, a szczególnie brudniejsze miejsca, a przekonasz się, że przy pewnéj wprawie i podłoga dobrze się wymyje, i służące tyle się nie zmęczą, i wilgoci nie będzie.

— Wątpię, aby brudna podłoga puściła bez szorowania szczotką.

— Najlepszy sposób usunięcia wątpliwości, sprobować; próba nie jest kosztowniejszą od zwykłego sposobu, do którego używa się zwykle albo mydło szare, albo potaż.

Po wytarciu trocinami sam ich kolor przekona, jaką masę brudu pociągnęły za sobą, a kolor posadzki po zmieceniu trocin ostatecznie rozstrzygnie, czy ten sposób jest dobry?

Trzeba tylko, powtarzam, starannie wycierać; a jeżeli są wielkie, tłuste plamy, to poprzednio namazać je gliną na rzadkie rozrobioną ciasto, która zupełnie wyciąga tłuste plamy; reszty dokonają trociny.

— Sprobuj zaraz tego sposobu.

Przypowieści.

1. Nie wprzód niebo, ale wprzód idzie zasługa.
2. Kowal szczęścia nie kuje,
   Sobie je kto chce, zbuduje.
3. Chcenie pożytku nie przyniesie, ale dobre czynienie.
4. Największa obrona, nie potrzebować obrony.
5. Kogo sumienie nie strofuje,
   Przed sąd wołany żartuje.
6. Robić wstydzić się nietrzeba,
   Ktokolwiek zażywa chleba.
7. Spać długo, gospodarzowi
   Sromota i hetmanowi.
8. Poznać łatwo ze starości,
   Jaki kto był w młodości.
9. Co chcesz mieć tajemnego,
   Miéj u siebie samego.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 7 (19) stycznia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.